

• A • D • A • M •
PRZECHRZTA

NAMIESTNIK

Samarin dopadł lekarza tygrysim skokiem i potrząsnął jak terier szczurem.

– Gdzie następcę tronu?!

– Na spacerze – wyjąkał przestraszony medyk. – Z hrabią von Schwartzem. Ostatnio widziałem ich obok fontanny.

Generał odepchnął Włocha i wypadł na korytarz.

– Może zdążymy – wymamrotał. – Za pięć minut będzie tu pluton alarmowy, a za kwadrans kompania. Żeby tylko zdążyć...

Samarin sięgnął po rewolwer, a złowrogi szczęk stali świadczył, że i żołnierze przygotowywali się do walki. Rudnicki wydobył butelkę z homunkulusem.

– Tam są! – zawołał Samarin.

Von Schwartz rozmawiał z robotnikami pracującymi przy fontannie, carewicz stał kilkanaście metrów dalej, wywijając kijkiem jak szablą.

– W tyralierę! – szczechnął oficer. – Aleks, do mnie!

Chłopiec popatrzył na nich zdziwiony, ale po chwili porzucił zaimprovizowaną broń i ruszył szybkim krokiem w kierunku żołnierzy. Von Schwartz obejrzał się przez ramię i uczynił ruch, jakby chciał go zatrzymać.

– Ognia! – zawył Samarin.

Arystokrata cofnął się wystraszony salwą, nieoczekiwanie uskoczył za fontannę.

– Co się dzieje? – zapytał carewicz. – Dlaczego strzelacie? *Gospodin gienierał?*

– To taka zabawa – wyjaśniła Anastazja. – Lubisz bawić się w wojnę?

Zanim chłopiec zdążył odpowiedzieć, z pałacu wybiegła grupa kilkunastu uzbrojonych mężczyzn, odcinając im odwrót, a w rękach symulujących pracę przy fontannie robotników pojawiły się karabiny. Rudnicki bez namysłu cisnął cienkościenną butelkę w drzewo.

– Zabijaj! – wycodził przez zaciśnięte zęby.

„Namiestnik” – fragment

Spis treści

Karta tytułowa

·R·O·Z·D·Z·I·A·Ł· I

·R·O·Z·D·Z·I·A·Ł· II

·R·O·Z·D·Z·I·A·Ł· III

·R·O·Z·D·Z·I·A·Ł· IV

·R·O·Z·D·Z·I·A·Ł· V

·R·O·Z·D·Z·I·A·Ł· VI

·R·O·Z·D·Z·I·A·Ł· VII

·R·O·Z·D·Z·I·A·Ł· VIII

·R·O·Z·D·Z·I·A·Ł· IX

·R·O·Z·D·Z·I·A·Ł· X

·R·O·Z·D·Z·I·A·Ł· XI

Zwroty obcojęzyczne i ciekawostki

Adam Przechrzta

Cykl Wojenny Adama Przechrzty

Pozostałe książki autora

Długi sprint

Karta redakcyjna

Okładka

• A • D • A • M •
P R Z E C H R Z T A

NAMIESTNIK

— CYKL MATERIA PRIMA —

CZEŚĆ I
ADEPT

CZEŚĆ II
NAMIESTNIK

CZEŚĆ III
CIEŃ

Ilustracje
Przemysław Truściński

fabryka słów®

Lublin – Warszawa

Poświęcam Ojcu

I

·R·O·Z·D·Z·I·A·Ł·



Dźwięk tramwajowego dzwonka wyrwał Rudnickiego z zamyślenia, mężczyzna skrzywił się, czując odór potu i nieprzetrawionej wódki, najwyraźniej stojący obok tragarz pokrzepił się po pracy najtańszym sprzedawanym na bazarach bimbrem. Nie bacząc na protesty współpasażerów, alchemik przecisnął się do drzwi. Niedługo przystanek. Za oknem przesuwają się oblepione ogłoszeniami słupy, fantazyjne polsko-niemieckie szyldy, czasem przez ulicę przejechała dwukółka ciągnięta przez zgarbionych z wysiłku mężczyzn. Okupujący Warszawę Niemcy znieśli co prawda większość antypolskich zarządzeń, ale jednocześnie prowadzili brutalne rekwizycje na potrzeby armii. Ich łupem padały nie tylko konie i bydło, lecz nawet miedziane rondle. Cóż, wiosną tysiąc dziewięćset szesnastego roku widać było wyraźnie, że wszelkie plany szybkiego zakończenia wojny należy włożyć między bajki.

Rudnicki, potrącony przez przysadzistą, woniejącą czulentem i kugłem babinę, zatoczył się na stojącą przed nim kobietę. Ta syknęła gniewnie i odwróciła się z niewróżącym niczego dobrego wyrazem twarzy. Wiktoria...

– Widzę, że korzystasz z okazji i tulisz się nieskromnie do niewinnych panienek – zauważyła z lekką kpina.

Rudnicki odchrząknął niepewnie – nie widzieli się od czasu pamiętnego spotkania przed Zamkiem Królewskim, i to nie dlatego, że jej unikał. Wiktoria zniknęła, jakby zapadła się pod ziemię. Prawda, że i nie szukał jej specjalnie, pamiętając o konszachtach dziewczyny ze sztyletnikami. A tymi lepiej było się nie interesować.



- Przepraszam – wymamrotał. – To ten tłok. Niemniej jednak...
- Tak?
- Przyjemniej przytulić się do ciebie niż do niektórych towarzyszy podróży.
- Jestem ładniejsza? – poddała prowokacyjnie.
- To także, ale przede wszystkim zdecydowanie lepiej pachniesz.

Jego rozmówczyni parsknęła śmiechem, pokazując równe, białe ząbki. Ot, zdawałoby się, jeszcze jedna młoda, bezpretensjonalna dziewczyna, jedna z tych, które aż chciałoby się złapać za rękę albo i za kolanko. A to przecież Wiktoria, prawa ręka naczelnika sztyletników. Urazisz taką, a będziesz miał szczęście, jak zdążysz spisać testament.

Tramwaj zatrzymał się na placu Teatralnym, niedaleko Pałacu Jabłonowskich, i Rudnicki przesunął się do wyjścia, uprzejmie skłoniwszy się na pożegnanie. Ku jego zdumieniu Wiktoria podążyła za nim.

- Jak interesy? – spytała, biorąc go pod rękę.
- Tak sobie – odparł niechętnie. – I skąd to pytanie? Mam wrażenie, że rozliczyłem się z twoimi... przyjaciółmi.
- Och, nie ma powodu do niepokoju, pytam wyłącznie w swoim imieniu – zapewniła.
- Połowę hotelu zajęli Niemcy na kwatery dla oficerów sztabowych. Żaden z nich oczywiście nie płaci.
- A apteka?
- Też nienadzwyczajnie, straciłem wielu klientów z braku *materia prima*. Najskuteczniejsze lekarstwa wymagają, niestety, tego składnika, a obecnie nikt nie odwiedza enklawy.
- Przecież nie ma zakazu – zdziwiła się dziewczyna.
- Niby tak – przyznał Rudnicki. – Tylko że wyprawa bez ochrony to samobójstwo. Niestety, warszawski generał-gubernator Jego Ekscelencja Hans von Beseler uznał, że dostęp do enklawy przysługuje jedynie, cytując: „licencjonowanym członkom gildii i ich pomocnikom w liczbie nie więcej niż trzech”.
- A to z jakiej racji?
- Boją się – mruknął alchemik. – Co prawda do tej pory nikt nie odkrył sposobu na bojowe zastosowanie *materia prima* na większą skalę, ale w przyszłości kto wie? To mogłoby zmienić losy wojny. Niemcy bardzo się pilnują, żeby nie naruszać praw, których przestrzegali nawet Rosjanie, ale i nie chcą ryzykować.
- Idziesz do urzędu?
- Rudnicki potwierdził nieartykułowanym pomrukiem. Od roku w Pałacu Jabłonowskich mieściły się niemieckie urzędy, a niedawno stał się on siedzibą Rady Miejskiej.
- Mają mnie ukarać – wyjaśnił, widząc pytający wzrok dziewczyny. – W zeszłym tygodniu wywaliłem z hotelu takiego jednego... Niby tylko kapitan, jeden z wyższych oficerów pozwolił mu korzystać ze swojego apartamentu, ale główniarz okazał się pociotkiem jakiegoś arcyksięcia czy innego grafa. No i oskarżono mnie o sabotaż zarządzeń generała-gubernatora.
- Co ci mogą zrobić?
- A bo ja wiem? – wzruszył ramionami Rudnicki. – Dobrze, jak tylko wlepią grzywnę, bo mogą i zabrać hotel.
- Żartujesz?
- W żadnym wypadku! – zaprzeczył posępnie alchemik.
- Może nie będzie tak źle, Beseler stara się zjednać sobie Polaków.
- Niby tak, ale wątpię, żeby przedłożył warszawskiego aptekarza nad niemieckiego oficera, w dodatku spokrewnionego z arystokracją.

- Co zrobisz, jak zabiorą ci hotel?
- Nie wiem. Mam nadzieję, że nie dojdzie do najgorszego.

Alchemik sięgnął do kieszeni płaszcza: miny pilnujących wejścia wartowników wskazywały wyraźnie, że nie wpuszczą nikogo bez odpowiednich dokumentów. Po chwili żołnierz z dystynkcjami feldfebla dał Rudnickiemu znać ruchem dłoni, że może przejść.

- Poczekam na ciebie – zadeklarowała Wiktoria.

Podziękował smętnym uśmiechem i otworzył masywne drzwi. Po wiodących w górę podwójnych schodach nieustannie przesuwiał się strumień interesantów. Dominowali ubogo ubrani cywile, choć nie brakowało też wojskowych mundurów. Rudnicki wszedł na pierwsze piętro i rozejrzał się po korytarzu. Pokój pięćdziesiąt siedem, referent Schlatze. Wnioskując po nazwisku, Niemiec. Cóż, mimo rozmaitych obliczonych na pozyskanie poparcia warszawiaków gestów wiadomo było, kto rządzi...

Wbrew przypuszczeniom Rudnickiego, który spodziewał się kogoś w rodzaju zasuszonego mola książkowego, Schlatze okazał się młodym, energicznym mężczyzną o przyjaznym sposobie bycia i nienagannych manierach. Niestety, w niczym nie zmieniało to wymowy pisma, jakie mu wręczył. *Herr* Rudnicki zobowiązany był w ciągu tygodnia opuścić hotel wraz z obsługą, placówkę przejmowała w całości intendentura wojskowa.

- Może się pan odwołać do generała-gubernatora – powiedział Schlatze poprawną polszczyzną z niemal niedostrzegalnym niemieckim akcentem.

– I co mi to da? – rzucił gorzko Rudnicki. – To już Rosjanie mniej kradli... – urwał, uświadomiwszy sobie, co i do kogo mówi.

Jednak urzędnik nie wyglądał na urażonego.

– Jego Ekscelencja ma związane ręce – poinformował. – Niemniej jednak sytuacja nie jest beznadziejna. Oficer, który złożył na pana skargę, skorzystał z przyspieszonego trybu orzekania, właściwego dla tego typu spraw. W dodatku jest dalekim krewnym generała Ludendorffa, więc...

– No tak – przerwał mu alchemik. – Kolejny pociotek arystokraty. W takich chwilach człowiek ma ochotę zostać socjalistą!

– Jakiego tam arystokraty! Ludendorff to syn drobnego urzędnika z Pomorza. Tyle że obecnie w łaskach u Jego Wysokości.

Rudnicki zmarszczył brwi, zaalarmowany tonem rozmówcy. Wyglądało na to, że Schlatze chce mu przekazać coś poza protokołem.

- Więc co miałbym zrobić? – zapytał.
- Poprosić o audiencję u generała-gubernatora – powtórzył cierpliwie Niemiec.
- I co dalej?
- Jestem pewien, że Jego Ekscelencja podsunie panu rozwiązanie tego

problemu.

– Czyżby? Wątpię, czy w ogóle zdaje sobie sprawę z mojego istnienia. Prywatna audycja? Akurat! Słyszałem, że adiutant arcyksięcia Józefa Ferdynanda czekał dwa tygodnie, zanim Jego Ekscelencja znalazł czas, żeby go przyjąć...

– Adiutant tego bufona i bawidamka? – powiedział z pogardą Schlatze. – I nic dziwnego! Ale pana to nie dotyczy.

Rudnicki jeszcze raz przyjrzał się mężczyźnie, dzięki szkoleniu u Ankwicza wiedział, czego szukać: swobodna, wyprostowana postawa, twarz zwrócona ku rozmówcy, ale ciało ustawione bokiem, tak aby jak najmniejsza powierzchnia narażona była na ciosy, prawa dłoń w okolicy pasa. Schlatze gestykułował tylko lewą...

– Jeśli jest pan referentem, to ja baletnicą – oznajmił z namysłem. – Co to za gra?

– Zapewniam pana, że jestem kimś w rodzaju referenta, choć istotnie nie w tym urzędzie. Gra? Teraz wszystko jest grą, a my figurami na szachownicy...

– Bardzo głęboka myśl – wycedził ironicznie alchemik. – A prościej?

– Proszę zgłosić się jutro do kancelarii Jego Ekscelencji. Gwarantuję, że zostanie pan przyjęty przez generała-gubernatora.

Rudnicki odpowiedział skinieniem na ukłon Niemca i ruszył do wyjścia. Nie zachwycił go perspektywa rozmowy z Beselerem, było oczywiste, że okupanci czegoś od niego chcą. Kwestia hotelu była w najlepszym razie marginalna, w najgorszym stanowiła jedynie sposób zwrócenia uwagi niejakiego Olafa Arnoldowicza, byłego wielkiego mistrza warszawskiej gildii alchemicznej i – według słów Anastazji – adepta. Taaak, sytuacja zdecydowanie się komplikowała...

– I co? – spytała Wiktoria. – Jakie wieści?

Rudnicki zrelacjonował jej w kilku zdaniach rozmowę z tajemniczym referentem.

– *Abteilung drei b* – orzekła bez wahania.

– To znaczy? Co to za wydział?

– Wywiad wojskowy – wyjaśniła. – Zainteresował się tobą wojskowy wywiad kajzera. Dziw, że dopiero teraz.

Alchemik zacisnął zęby, nie wypadało kłąć w obecności damy. Nagle sprawa hotelu wydała się mało ważna.

– I co mam teraz robić?!

– Skoro chcą z tobą rozmawiać, sytuacja nie wygląda najgorzej.

– Nie mieszam się w politykę!

– Czasem nie mamy wyboru – zauważyła spokojnie Wiktoria. – Tak czy owak,

nie ma co się denerwować. Porozmawiasz z Beselerem, a później zobaczymy.

– Zobaczymy? – zaakcentował Rudnicki. – Czymże takim zwróciłem twoją uwagę? A może jednak uwagę sztyletników? – dodał ściszym głosem.

– Tylko moją – zapewniła, patrząc mu twardo w oczy. – Jeśli nie chcesz mnie widzieć, powiedz, a odejdę. Więc?! – rzuciła ostro.

Rudnicki pierwszy opuścił wzrok, nie wyglądało, żeby dziewczyna kłamała, z drugiej strony do tej pory nic nie wskazywało, aby był szczególnie atrakcyjny dla płci pięknej. A tu proszę, jaka atencja ze strony panny Wiktorii...

– Czego ode mnie chcesz? – spytał otwarcie. – Nie mam pieniędzy ani wpływów, no i nie mam urody amanta filmowego.

– Pozwól, że sama osądzę twoją aparycję. Wpływy? Nie doceniasz się. Wszyscy są przekonani, że twoje odejście ze stanowiska mistrza gildii zniszczyło Srebrny Zamek. Jesteście legendą, Olafie Arnoldowiczu – dodała figlarnie.

– Rozumiem, że chcesz... zainwestować we mnie towarzysko, zanim inne panie zorientują się, jaki skarb przeoczyły?

– Coś w tym rodzaju – przyznała z udawaną powagą. – Przyjemnie się z tobą rozmawia, ale muszę już iść. Może spotkamy się jutro? Moglibyśmy zastanowić się nad żądaniami Beselera.

Alchemik przytaknął: nie ulegało wątpliwości, że generał-gubernator czegoś od niego chce, a dziewczyna nie raz i nie dwa udowodniła swoją przydatność. Na przykład ratując mu życie w czasie ataku na hotel. Taaak, z panną Wiktorią lepiej żyć w zgodzie. No i nie ma co ukrywać, dziewczyna była nad wyraz sympatyczna. Może to błąd, pomyślał smętnie Rudnicki, ale jestem tylko mężczyzną i widok ładnej buźki sprawia mi przyjemność. Cóż, jeśli chodzi o Wiktorię, być może nawet więcej niż przyjemność...

– Oczywiście, zapraszam – zadeklarował.



Generał Hans Hartwig von Beseler, średniego wzrostu, korpulentny mężczyzna o mięsistej twarzy ozdobionej zawadiackim, podkreconym wąsem, nie sprawiał groźnego wrażenia. Niczym niemaskowana łysina i podkrążone ze zmęczenia oczy nadawały mu z lekka komiczny wygląd, jednak Rudnicki miał się na baczności: powszechnie uważano, że generał-gubernator należy do najbardziej kompetentnych niemieckich oficerów, to właśnie on zdobył twierdze antwerpską i modlińską, uważane za jedno z najpotężniejszych w Europie.

Niepokój alchemika pogłębiło zachowanie Beselera, generał przywitał się uściskiem dłoni i uprzejmie czekał, póki Rudnicki nie zajmie miejsca w wygodnym, obitym skórą fotelu. Co prawda generał-gubernator miał opinię

porządnego człowieka, a niemieccy nacjonaści oskarżali go wręcz o nadmierną sympatię wobec Polaków, jednak było wątpliwe, czy w normalnych okolicznościach okazałby podobne względy komuś stojącemu dużo niżej w hierarchii społecznej. Najwyraźniej jednak okoliczności nie były normalne...

– *Herr* Rudnicki – rozpoczął bez wstępu generał – zobligowano mnie do przekazania panu prośby od wysoko postawionej osobistości...

– Myślałem, że chodzi o mój hotel – wtrącił nerwowo alchemik.

– Porozmawiamy i o hotelu – uspokoił go Beseler. – Jednak ta pierwsza sprawa jest ważniejsza. Prawdę mówiąc, dużo ważniejsza.

– Słucham, ekscelencjo.

– Jego Wysokość imperator Wszechrusi Mikołaj Drugi przesłał na moje ręce prośbę o umożliwienie panu wyjazdu do Petersburga. Jak wynika z listu, ma to związek ze stanem zdrowia następcy tronu, carewicza Aleksego. Jego Wysokość pisze, że Aleksey już wcześniej był pańskim pacjentem i zobowiązał się pan wówczas do udzielenia konsultacji na każde żądanie... – Beseler przerwał, najwyraźniej czekając na komentarz.

– Istotnie – przyznał, przetykając ślinę, Rudnicki. – Leczyłem już następcę tronu i obiecałem, że w razie komplikacji zdrowotnych będę do dyspozycji carewicza.

– W takim razie rozumiem, że nie będziemy dyskutować o tym, czy pojedzie pan do Petersburga, tylko zajmiemy się kwestią, kiedy i jak?

– Oczywiście, ekscelencjo – wymamrotał alchemik.

– Cóż, przyznam się panu, że pozwoliłem sobie skonsultować ten problem ze Sztabem Generalnym i Jego Wysokością cesarzem Wilhelmem. Wiedząc, że jest pan człowiekiem honoru, ani przez chwilę nie wątpiłem, że wypełni pan swoje zobowiązania.

Rudnicki podziękował skinieniem głowy, z trudem powstrzymując się przed połuźnieniem kołnierzyka. Jeszcze wczoraj był zwykłym hotelarzem – prawda, że z problemami! – za to dziś stał się pionkiem w grze o nieznanych mu regułach.

– Myślałem, że cesarstwo prowadzi wojnę z Rosją – zauważył niepewnie.

– Prowadzi – potwierdził generał-gubernator. – Ale przecież nie z dziećmi. Oczywiście w czasie walk giną i cywile, w tym dzieci, jednak na skutek tragicznego zbiegu okoliczności, a nie celowych działań! Wracając do rzeczy: otrzyma pan specjalne dokumenty umożliwiające przejazd przez strefę przyfrontową, natomiast po przekroczeniu linii frontu będzie na pana czekał wysłannik cara, który zapewni panu bezpieczeństwo na terytorium Rosji.

– Rozumiem... – wymamrotał alchemik.

– Żeby przyspieszyć wszelkie formalności, w czasie przejazdu przez nasze terytorium będzie panu towarzyszył *Herr* Schlatze.

– *Etot łże-czinownik?! –* wyrwało się Rudnickiemu mimo woli.

Jak większość mieszkańców Warszawy, alchemik potrafił porozumieć się po niemiecku, jednak w chwilach napięcia zdarzało mu się mylić jednego okupanta z drugim i przechodzić na rosyjski.

Usta generała drgnęły w powstrzymywanym uśmiechu, sugerując, że oficer zrozumiał obco brzmiący zwrot.

– *Ja... Herr Schlatze* rzeczywiście jest kimś w rodzaju urzędnika – potwierdził. – Jednak przede wszystkim jest wysłannikiem cesarza, osobą o ogromnych uprawnieniach. Jego obecność powinna panu uświadomić, jaką wagę Jego Wysokość Wilhelm przywiązuje do pańskiej misji. Co do wyjazdu: będzie pan gotowy na jutro? Specjalny pociąg zostanie podstawiony około południa.

– Postaram się.

– Nie bardzo rozumiem – zmarszczył brwi Beseler. – Jeśli chodzi o hotel...

– Z całym szacunkiem – przerwał mu zirytowany Rudnicki. – Nie chodzi o hotel! Nie mam zamiaru wykorzystywać sytuacji. To problem natury medycznej.

– A konkretnie?

– Brakuje mi *materia prima* – poinformował alchemik. – Tymczasem charakter prośby cara sugeruje, że sytuacja jest poważna. Oczywiście przypuszczam, że Rosjanie mi ją udostępnią, jednak jeśli będzie potrzebna nagła interwencja... – Rozłożył wymownie ręce. – Wytworzenie leku metodą spagiryiczną potrwa przynajmniej kilkanaście, o ile nie kilkadziesiąt godzin.

– *Ja, natürlich* – przytaknął Beseler z namysłem. – A gdyby otrzymał pan tę substancję już teraz? Ile pan potrzebuje?

– Bo ja wiem? Dwa, może trzy łuty. W gramach to będzie...

– Nieważne – wszedł mu w słowo generał-gubernator. – Dostanie pan wszystko, co konieczne, żeby sporządzić lekarstwo dla carewicza. Kiedy tylko skończymy rozmawiać, mój adiutant zaprowadzi pana do magazynu. Teraz co do hotelu... Kapitan Hoffmann nie po raz pierwszy inicjuje bezsensowną awanturę, z tego właśnie powodu dwukrotnie przenoszono go do innej jednostki. Jest, jak to wy, Polacy, mówicie... fiut na dupie?

– Wrzód na dupie – poprawił z kamienną twarzą Rudnicki.

– Frzut na dupie – powtórzył z upodobaniem von Beseler. – Teraz dobrze?

– Wasza Ekscelencja ma znakomity akcent – pochwalił alchemik.

– Jak przypuszczam, miał pan ważny powód, żeby go wyrzucić?

– Uporczywie zakłócał spokój innym gościom. Cygańska orkiestra o piątej nad ranem to jednak przesada.

– Tak też myślałem – zaznaczył z satysfakcją generał. – W takim razie wystarczy, jeśli przesłucham innych oficerów. Zanim pan wróci, sprawa powinna

być wyjaśniona i otrzyma pan z powrotem swój hotel. Niestety, chwilowo przyjdzie się panu wyprowadzić, rozumie pan: przepisy.

Rudnicki ponuro skinął głową.

– A kto będzie nim zarządzał pod moją nieobecność?

– Kapitan Hoffmann zgłosił swoją kandydaturę, jednak fakt, że jest stroną w sporze, skłania mnie do odrzucenia tej propozycji.

– Stanowczo rekomendowałbym powierzenie mu czasowego nadzoru nad hotelem – powiedział alchemik. – Ze względu na magiczne zabezpieczenia wymaga to głębokiej wiedzy. Wiedzy, której kapitan z pewnością nie posiada. Stąd przypuszczam, że moja nieobecność spowoduje pewne... perturbacje.

– Jak silne perturbacje? – spytał wprost Beseler. – Proszę pamiętać, że kwaterują tam cesarscy oficerowie!

– Nic nieodwracalnego – zapewnił Rudnicki.

– Cóż, zatem dam kapitanowi szansę, żeby się wykazał. A teraz wybaczy pan, obowiązki. *Herr Rudnicki*...

– Ekscelencjo... – skłonił się alchemik.



Sprowadzona z hotelu pokojówka podała herbatę i wypieki pod baczny spojrzeniem kucharki, po czym dygnęła i wyszła pospiesznie z salonu. Kucharka, potężnej postury matrona w białym fartuchu, jedna z nielicznych Rosjanek, które pozostały w Warszawie, śledziła z niepokojem reakcje stołowników, dopóki Rudnicki nie wyraził głośno aprobaty. Nie żeby udawał: Tatiana Olegowna Aristowa była prawdziwą mistrzynią w swoim fachu, wcześniej służyła u księcia Oboleńskiego.

– Wszystko jak zwykle znakomite! – pochwalił alchemik, kosztując ciężkiego, pachnącego rumem ciasta.

– *Na zdrowie, rodimyj!* – rozpromieniła się kucharka. – To ja już pójdę.

– Cała twoja służba odnosi się do ciebie tak familiarnie? – spytała ze zdziwieniem Wiktoria.

– Nie, tylko Tatiana Olegowna – odparł sucho Rudnicki. – Ale czuję się usprawiedliwiony, ona i Oboleńskiemu mówiła „kochaniutki”.

– Utalentowana kobieta – przyznała dziewczyna, sięgając po obłany czekoladą biszkopt. – Skąd się u ciebie wzięła? Przecież w czasie ewakuacji Oboleńskiemu podstawili specjalny pociąg. Nie sędzę, żeby zabrakło miejsca.

– Wróciła do pałacu po utensylia kuchenne, okazało się, że zapomniała ich spakować, a tymczasem nad miastem pojawiły się niemieckie zeppelin-y – wyjaśniła Anastazja. – No i pociąg odjechał. Ale mamy do omówienia ważniejsze

sprawy. Powiedziałaś wcześniej, że masz dla nas propozycję?

Rudnicki skinął na lokaja i poczekał, aż tamten zamknie drzwi, pewne tematy lepiej było omawiać bez udziału postronnych.

– Więc? – zachęcił Wiktorię.

– Chodzi o enklawę...

Niewykazujący do tej pory zainteresowania rozmową Ankwicz podniósł czujnie głowę. Fechmistrz od dłuższego czasu namawiał alchemika na wyprawę do enklawy, ale Rudnicki niezmiennie odmawiał.

– Tak?

– Mogłabym do was dołączyć – poddała Wiktorja. – Wówczas mielibyśmy szansę wrócić cało. Nie chciałbyś odnowić zapasów *materia prima*? – dodała, zwracając się do alchemika.

– A jaki ty masz interes w wycieczce do enklawy? – rzucił nieufnie Rudnicki.

– Biblioteki. Chciałabym wejść do biblioteki i wyjść stamtąd w jednym kawałku. Wiem, że tobie i Anastazji się udało...

Ankwicz skinął energicznie głową.

– To ma sens – powiedział. – Pan i Anastazja zajęlibyście się magiczną stroną problemu, a ja i panienka Wiktorja skoncentrowalibyśmy się na fizycznych zagrożeniach.

– Jasne! A po powrocie po drugiej stronie muru czekałaby na nas hołota z całego miasta! Bo dobry rok nie mieli okazji obrobić żadnego alchemika!

– Oczekiwaliby nas też moi ludzie – zripostował fechmistrz. – Więc?

Rudnicki westchnął ciężko: nie uśmiechała mu się wyprawa do enklawy, jednak uprawianie alchemii wymagało posiadania *materia prima*. A jeśli na domiar złego mimo obietnic Beselera zabiorą mu hotel? Albo dokwaterują kolejnych oficerów? Nawet obecnie zyski ledwo pokrywały koszty.

– Kuzynko?

Nikt poza Samarinem nie wiedział, kim w rzeczywistości jest kobieta podająca się za krewną alchemika, stąd też Rudnicki podtrzymywał publicznie wygodną dla siebie wersję.

– Cóż, to ciekawa propozycja – przyznała Anastazja. – Jesteś pewien, Zygmuncie, że dacie radę we dwójkę?

Jeszcze jedna zagadka, pomyślał markotnie alchemik. Ciekawe, kiedy panienka Anastazja i Ankwicz zbliżyli się na tyle, by mówić sobie po imieniu. A przecież żadne nie miało skłonności do spoufalania się z otoczeniem.

– Oczywiście, widziałem panienkę Wiktorię w akcji. Podobnie jak i pan Rudnicki – zaznaczył Ankwicz z lekką kpina.

Alchemik odsunął nerwowym gestem filiżankę, sapnął gniewnie.

– Niech wam będzie! – burknął. – Ale o konkretach porozmawiamy po moim

powrocie z Petersburga. Daj Boże, szczęśliwym, bo ostatnio ledwo uszedłem z życiem!

– Nic ci nie grozi – zapewniła Wiktoria. – W tej rozgrywce jesteś dla obu stron zbyt cenną figurą, żeby cię narażać.

– Akurat! Nie wiem nawet, o co chodzi, bo trudno mi uwierzyć w nagły przypływ humanitaryzmu kajzera.

– I słusznie, Niemcy mają w tym swój interes – przyznała dziewczyna. – Tyle że nie zmienia to w niczym twojej sytuacji.

– Nie lubię, jak ktoś wciąga mnie w jakieś mętne historie.

Wiktoria przyjrzała mu się z autentycznym zdziwieniem.

– Naprawdę nie wiesz, o co chodzi? – spytała.

– Naprawdę! Może mnie oświecisz?

– Sprawa jest oczywista, Niemcy chcą zawrzeć separatystyczny pokój z Rosją, a później przerzucić wszystkie siły na zachód, żeby rozstrzygnąć losy wojny – powiedziała obojętnie.

– Przecież Rosjanie zebrali straszne baty.

– I tak, i nie. Rzeczywiście przegrali kilka ważnych bitew i musieli się wycofać, ale właśnie wycofać, a nie uciec. Ich armia nie poszła w rozsypkę i nadal może sprawiać kłopoty. Jest kiepsko zaopatrzona, bo rosyjski przemysł nie był przygotowany do wojny, ale to ulega nieustannej poprawie, poza tym Rosjanie mogą uzupełniać braki u sojuszników. Natomiast ogromne rezerwy ludnościowe Rosji stawiają ją w rzędzie groźnych przeciwników.

– Oni naprawdę myślą, że car, wzruszony postawą Niemców, rozpocznie rozmowy pokojowe? – wtrąciła Anastazja z niedowierzaniem w głosie.

– Skąd! Chodzi raczej o zachowanie kanałów łączności. Pewnego... bo ja wiem...? pozytywnego nastawienia. Rosja jest nadal zbyt silna, żeby poważnie rozważyć wycofanie się z wojny, jednak kolejne klęski mogą to zmienić. A jeśli Niemcy obiecaliby oddanie zabranych ziem? Kto wie?

– Świetnie! Czyli mam być nieoficjalnym ambasadorem kajzera? – mruknął z niezadowoleniem Rudnicki.

– Bez przesady, Rosjanie doskonale zdają sobie sprawę, że nie mieszasz się do polityki. Naprawdę nic ci nie grozi – powtórzyła Wiktoria. – No chyba że od strony zawodowej...

– Nie rozumiem.

– Wiesz, gdybyś nie był w stanie pomóc carewiczowi...

– Jeśli chodzi o hemofilię, to dam radę.

– Nie masz *materia prima* – zauważyła Anastazja. – Gdybyśmy zaryzykowali...

Rudnicki powstrzymał ją gwałtownym gestem.

– Zaryzykowali? W trójkę albo z jakimś gamoniowatym konfratrem na

dokładkę? Wolne żarty! Znam przyjemniejsze sposoby popełniania samobójstwa. Co do *materia prima*, to ten problem został już rozwiązany, Niemcy dali mi trzy luty.

– No proszę, to znaczy, że naprawdę zależy im na powodzeniu misji – odezwała się z namysłem Wiktoria. – Ciekawe...

– Nie widzę w tym niczego ciekawego, będę musiał pracować całą noc, bo lekarstwo samo się nie robi.

– Pamiętaj, żeby wziąć te nowe karty wizytowe – przypomniała Anastazja.

Alchemik przytaknął z cierpienniczą miną.

– Co za karty? – zainteresowała się Wiktoria.

– Pokażę – powiedziała Anastazja, wstając zza stołu. – Kosztowało nas to dobrą ryżę papieru i miesiąc eksperymentów, ale produkt finalny robi wrażenie.

– Karty wizytowe? – zdziwiła się dziewczyna. – Takie z nazwiskiem i tytułami? Nie mogłeś zamówić w drukarni?

– Sama zobaczysz – mruknął Rudnicki zażenowany. – Z jednej strony to głupota, z drugiej może rzeczywiście warto...?

Anastazja wróciła, niosąc niewielką metalową tacę, podeszła do Wiktorii i zademonstrowała prostokątny kawałek papieru.

– Tu nie ma żadnego tekstu.

– Dotknij jej.

Wiktoria ostrożnym gestem musnęła kartę. Na wizytówce pojawiła się podkowa z krzyżem na błękitnym tle, ponad nią wzlatujący jastrząb. Po chwili herb zniknął, a niewidzialne pióro wytrawiło ogniem imię i nazwisko alchemika. Wreszcie spod śnieżnej bieli wychynęło słowo ADEPT, po czym rozpadło się na setki wirujących, nieznanych geometrii figur. Dziewczyna wzdrygnęła się i odwróciła wzrok.

– Jeszcze chwila i bym zemdlą – wymamrotała oszołomiona. – Jak to zrobiliście?

– To nic wielkiego, wystarczyła kropla krwi Olafa i słowo mocy. To samo, dzięki któremu cała Warszawa ujrzała nad Zamkiem Królewskim polską flagę – wyjaśniła obojętnie Anastazja.

– A te dziwne wzory? I ile słów poznaliście? Przecież zanim Rosjanie się wycofali, byliście na pewno nie raz w enklawie?

Anastazja wymownym gestem scedowała pytanie na alchemika.

– To dość osobista sprawa. Żeby nie powiedzieć: intymna – wycodził Rudnicki.

– Tak więc wybacz, ale nie zaspokoję twojej ciekawości.

– A te karty? Po czorta ci coś takiego? Czy to też tajemnica?

– Ależ skąd! – zapewniła Anastazja. – To akurat żaden sekret. Po ostatniej wizycie na carskim dworze Olaf narobił sobie wrogów. Ci zaś uznali go za płótkę,

prawda, że irytującą, ot, prowincjonalnego polskiego aptekarza. Jednym słowem, kogoś, kogo łatwo się pozbyć. Te karty wizytowe mają im uświadomić, że popełnili błąd w ocenie. Błąd, który może ich drogo kosztować...

– A jeśli zobaczy to ktoś wtajemniczony? Inny adept? Nie zdemaskuje tej sztuczki?

– Sztuczki? – Anastazja parsknęła pogardliwie. – Żaden z tych szarlatanów tego nie powtórzy! Inny adept? Wolne żarty! Wiesz, ilu wariatów próbowało wejść do bibliotek? Każdy chce zostać nadczłowiekiem.

– Masz na myśli te pamiątniki?

– Owszem, chodzi mi o książkę Klujewa.

Rudnicki odchrząknął z rozbawieniem: historia *gospodina* Klujewa od ponad roku stanowiła pożywkę dla prasy na równi z doniesieniami z frontu. W czasie jednej z wypraw do enklawy Klujew, zwykły moskiewski alchemik, trafił przez przypadek do biblioteki i co ważniejsze, przeżył. Poznane przez niego słowo mocy pozwalało mu oddziaływać na psychikę bliźnich, co też natychmiast wykorzystał, wyciskając ze stołecznych banków absurdalnie wysokie i niczym niezabezpieczone kredyty oraz emablując miejscowe piękności. Sielankę – Klujew żył w iście sułtańskim stylu – przerwał zazdrosny mąż jednej z uwiedzionych przez alchemika ślicznotek, umieściwszy w sercu rywala kilka gramów ołowiu. Tyle że tamten zdążył wcześniej wydać pamiątniki.

Anastazja miała rację, przypadek Klujewa bardziej niż cokolwiek innego, w tym wysoce specjalistyczne dywagacje na temat znaczenia enklaw, zachęcił do odwiedzania bibliotek. Mimo koszmarnego bilansu – większość śmiałków ginęła w czasie poznawania symboli, inni umierali niedługo potem, nie mogąc powstrzymać się przed nadużywaniem nowych znaków – ochotników nie brakowało.

– A ja? – spytała cicho Wiktoria. – Czy ja przeżyję?

– Nikt z wchodzących do biblioteki nie ma stuprocentowej gwarancji – odparł bez ogródek Rudnicki. – Jednak zajmijmy się tobą. Tak czy owak, masz spore szanse.

Wiktoria zachęciła go gestem do kontynuowania tematu, jednak alchemik pokręcił przecząco głową.

– Znowu jedna z tych spraw, o których nie rozmawia się z postronnymi? – stwierdziła z niesmakiem.

– Coś w tym rodzaju. A teraz wybaczone, muszę wracać do pracy.

– W takim razie zobaczmy się po twoim powrocie.

– Chwileczkę! – wtrącił Ankwicz. – A co z hotelem? Naprawdę odda go pan Niemcom bez walki?

– Niezupełnie. Przede wszystkim mam słowo Beselera, że zanim wrócę

z Petersburga, załatwi tę sprawę...

– Mogę wyjść – zaproponowała Wiktoria, widząc minę alchemika.

– Nie trzeba – machnął ręką Rudnicki. – Przecież nie polecisz z donosem do Hoffmanna.

– Dziękuję, łaskawco, za zaufanie!

– Nieważne. Jutro rano cały personel musi opuścić hotel – polecił alchemik, zwracając się do Ankwicza. – Dopilnuje pan tego. Tymczasem ja dopilnuję, żeby Niemcy pożałowali swojej decyzji.

– A to w jaki sposób? – uniósł brwi fehmistrz.

– Cóż... Umieściłem w paru miejscach pewien symbol. Ta struktura zacznie działać dopiero za kilka dni i obejmie swoim zasięgiem cały budynek. W zasadzie rzecz jest nieszkodliwa, jednak mogą wystąpić pewne ciekawe efekty.

– A konkretnie?

– Nadmierne rozluźnienie. Nieustanna senność i brak chęci do pracy, osłabienie mięśni, w tym szkieletowych, a nawet...

– Jakich, do licha, mięśni?! Pamiętaj, że nie każdy jest lekarzem – rzuciła z irytacją Wiktoria.

– To mięśnie pozwalające na ruch i utrzymanie wyprostowanej pozycji. Krótko mówiąc, hotelowi goście mogą ni stąd, ni zowąd potknąć się o własne nogi, zaślinić albo i zanieczyścić jak małe dzieci.

Usta Ankwicza drgnęły w powstrzymywanym uśmiechu, wreszcie mężczyzna zarechotał na cały głos.

– Podoba mi się ten pomysł! – zawołał. – A ci niemieccy sztabowcy! „Wytrzymał pod Verdun, nie dał rady w hotelu »Azyl«” – zadeklamował ze złośliwą uciechą.

Ankwicz miał specyficzne poczucie humoru. Rudnicki westchnął bezradnie, po czym odprowadził Wiktorię do wyjścia. Najwyższy czas zająć się lekarstwem dla carewicza, pomyślał. Bo jeśli środek nie zadziała, nie pomogą mi żadne, nawet najbardziej wymyślne karty wizytowe...



Alchemik pochylił się nad potężną retortą i zerwał okrywającą naczynie płachtę. Homunkulus z błogim wyrazem twarzy pływał w czerwonym winie zaprawionym eliksirem z mandragory. Po chwili otworzył oczy i czarne, nieludzkie źrenice, o kilka tonów ciemniejsze od antracytu, napotkały wzrok Rudnickiego.

– Tata! – wykrzyknął, siadając. – Tata!

Poruszone gwałtownym ruchem hybrydy naczynie zakołysało się niebezpiecznie.

– Spokój! – polecił gniewnie alchemik.

– Ja grzeczny! – zadeklarował stwór natychmiast. – Jeździmy? – spytał z nadzieją w głosie.

Z niewiadomych przyczyn jakiegokolwiek podróże, a w szczególności jazda pociągiem, niezmiernie ekscytowały hybrydę. Rudnicki nie raz i nie dwa łapał się na myśli, że homunkulus przypomina zachowaniem kilkulatek. No, może poza jedną kwestią: to akurat dziecko uwielbiało zabijać jeszcze bardziej, niż podróżować...

– Wyjeżdżamy – poprawił odruchowo alchemik.

– Wyjeżdżamy?

– Tak.

Rudnicki postawił na stole niewielką, pokrytą magicznymi symbolami butelkę i odwrócił się plecami do retorty. Z jakichś względów nie znosił momentu, kiedy homunkulus przenosił się do mniejszego naczynia. Proces trwał mgnienie i był niemal niewidoczny – ot, lekkie falowanie powietrza; gdyby człowiek mrugnął, toby nie zauważył.

Powietrze zapachniało ozonem i alchemik schował butelkę do specjalnej sakiewki przy pasie. Mimo że wszyscy go uspokajali, wołał sam zatroszczyć się o swoje bezpieczeństwo.

Rudnicki skrzywił się boleśnie, słysząc klakson, najwyraźniej Schlatze się niecierpliwił. Niemiec czekał na niego za kierownicą najnowszego modelu mercedesa. Automobil zaopatrzono nie tylko w wygodne siedzenia i rozkładany dach, ale nawet elektryczne reflektory. Podobno samochód mógł rozwijać prędkość ponad stu kilometrów na godzinę, choć w to akurat alchemik niespecjalnie wierzył. Kupa żelaza poruszająca się szybciej niż wyścigowy wierzchowiec? Koń by się uśmieł...

– Widzę, że nie obciąża się pan bagażem – zauważył Niemiec, mierząc wzrokiem niewielką walizkę alchemika i podręczną torbę z medykamentami. – Na pewno zabrał pan potrzebne lekarstwa?

– Na pewno – skwitował sucho Rudnicki.

– To co, możemy jechać na dworzec?

– Mamy jeszcze trochę czasu, chciałbym wstąpić na chwilę do hotelu.

– Jak pan sobie życzy – wzruszył ramionami Schlatze.



Rudnicki rozejrzał się: w holu zebrali się niemal wszyscy hotelowi goście, w tym i niemieccy oficerowie. Nic dziwnego, skoro właściciel zaproponował darmowe trunki...

– Szanowni państwo – rozpoczął bez wstępu Rudnicki – spotykamy się dzisiaj po raz ostatni, od jutra hotel przechodzi czasowo pod zarząd władz niemieckich. Dlatego czuję się w obowiązku uprzedzić, że nie mogę wam zagwarantować pod moją nieobecność należytego komfortu. Stąd rekomendowałbym natychmiastowe opuszczenie „Azylu”. Jako właściciel przepraszam bardzo za te kłopoty i w ramach rekompensaty zwalniał wszystkich z opłat, niezależnie od czasu, jaki państwo spędzili w hotelu. Mam nadzieję, że będę miał przyjemność gościć państwa w przyszłości – zakończył z lekkim ukłonem.

Tak jak się spodziewał, jego przemowa wywołała zaniepokojenie nawet u niemieckich sztabowców.

– Co znaczy ta dziwna uwaga na temat komfortu? – wycodził przez zęby pułkownik von Trosch.

Postawny mężczyzna z krzyżem orderu Pour le Mérite na mundurze i monoklem w oku wyglądał jak archetyp pruskiego oficera-arystokraty.

– Zabezpieczenie tego typu obiektu wymaga sporej wiedzy – wyjaśnił chłodno Rudnicki. – Specjalistycznej wiedzy. A z tego, co mi wiadomo, na funkcję tymczasowego zarządcy zostanie powołany kapitan Hoffmann.

Niemiec skrzywił się, jakby skosztował cytryny, także pozostali oficerowie nie wyglądali na zachwyconych: ze względu na kastową solidarność nie było mowy o otwartej krytyce, ale wszyscy zdążyli poznać Hoffmanna i wiedzieli, co sobą reprezentuje pupilek Ludendorffa.

– Ktoś o mnie wspominał?

Kapitan Gregor Hoffmann nie mógł mieć więcej niż dwadzieścia pięć lat. Afektowany sposób bycia sprawiał, że przypominał kiepskiego aktora, któremu przyszło grać rolę oficera, wrażenie pogłębiał niedopięty mundur, brak jakichkolwiek odznaczeń na piersi i krągłe, różowe policzki pozbawione nie tylko wojennych, ale i burszowskich blizn.

Von Trosch zmierzył go zniesmaczonym spojrzeniem, po czym ponownie zwrócił się do Rudnickiego:

– Jak duży dyskomfort ma pan na myśli?

– Nic, co mogłoby zagrozić życiu czy zdrowiu – zapewnił natychmiast alchemik. – I nie od razu. Niestety, magiczne zabezpieczenia, które chronią ten hotel, wymagają co jakiś czas korekty. – Rozłożył bezradnie ręce.

– A pan nie mógłby...

– Przykro mi, jestem zmuszony udać się do Petersburga – wszedł mu w słowo Rudnicki. – Za godzinę odjeżdża mój pociąg.

– Do Petersburga?! To zdrada! Aresztuję pana w imieniu cesarza! – wrzasnął Hoffmann, nerwowo grzebiąc przy kaburze.

Von Trosch złapał go żelaznym chwytem za nadgarstek, zmuszając do

wypuszczenia rękojeści pistoletu.

– Milcz, gówniarzu, i nie przerywaj starszym! – warknął.

Kilku oficerów niepostrzeżenie podeszło do awanturującego się młodzieńca.

Rudnicki roześmiał się mimo woli: otoczony przez sztabowców Hoffmann wyglądał jak prosiaczek, który niespodziewanie zetknął się z watahą posiwiałych, pokrytych szramami i śmiertelnie niebezpiecznych wilków.

– Powiedziałem coś zabawnego? – zapytał zwodniczo łagodnym tonem pułkownik.

– Przepraszam najmocniej – wykrztusił alchemik, ocierając łzy. – Nie pan... Proszę wybaczyć, nerwy.

– W takim razie w czym rzecz?

– Pro... prosiątko i wilki – wyjąkał Rudnicki, wskazując Hoffmanna.

Przez moment von Trosch wyglądał na zdezorientowanego, jednak później w jego oczach pojawił się błysk zrozumienia i po krótkiej heroicznej walce Niemiec wybuchnął niepowstrzymanym śmiechem. Po chwili zawtórowali mu inni oficerowie.

– To niedopuszczalne! Ja... Żądam satysfakcji! – rozległ się piskliwy głos Hoffmanna.

Rudnicki uniósł dłoń, ku jego zdumieniu wrzawa ucichła jak ucięta nożem.

– Gdyby ktoś poczuł się urażony moim zachowaniem, udzielę mu satysfakcji po powrocie – oznajmił alchemik, rzucając na stół kartę wizytową.

– A tak z ciekawości, w jakim celu udaje się pan do Petersburga?

W głosie von Troscha nie było agresji ani nawet nalegania, a ręce pułkownik trzymał zaplecione za plecami, jednak alchemik poczuł suchość w ustach.

– Myślę, że lepiej wyjaśni to mój towarzysz – wymamrotał.

Schlatze podszedł do oficera i podał mu dokument z wyraźnie widoczną pieczęcią przedstawiającą czarnego cesarskiego orła.

– Z rozkazu Jego Wysokości! – powiedział krótko.

Na twarzy von Troscha odbiło się zdumienie, pułkownik kilkakrotnie przestudiował pismo, po czym oddał je, kłaniając się z szacunkiem.

– Czy zaspokoilem pańską ciekawość? – upewnił się Schlatze.

– W zupełności, hrabio! – zaręczył oficer. – Życzę panom powodzenia.

– Niektórym będzie bardzo potrzebne! – stwierdził buńczucznie Hoffmann, odzyskując pewność siebie.

Młodzik podniósł wizytówkę alchemika i zacisnął palce, zapewne zamierzając zmiąć ją pogardliwie. Niespodziewanie pobladł, wydawało się, że oczy wyjdą mu z orbit, wreszcie runął na podłogę niczym worek cementu.

– I jak mamy wygrać wojnę z takimi żołnierzami? – westchnął cierpiętniczo pułkownik. – Podnieście go! – polecił. – Trzeba jakoś ocucić tego obrońcę

Vaterlandu, a za hotelem widziałem basen przeciwpożarowy...

Schlatze wymownym gestem pokazał zegarek, więc Rudnicki niechętnie ruszył do wyjścia. Trzeba było pogodzić się z myślą, że hotel nie należy już do niego. Mimo obietnic Beselera alchemik miał świadomość, że odzyska go tylko wtedy, jeśli Niemcy będą zadowoleni z wyników jego misji.



Treść dostępna w pełnej wersji eBooka.



Historyk, doktor nauk humanistycznych, pedagog, autor artykułów na temat historii, walki nożem i okinawskiego karate. Interesuje się działaniami służb specjalnych. Jako pisarz zadebiutował w 2006 roku, od tego czasu wydał osiem powieści oraz tom opowiadań.

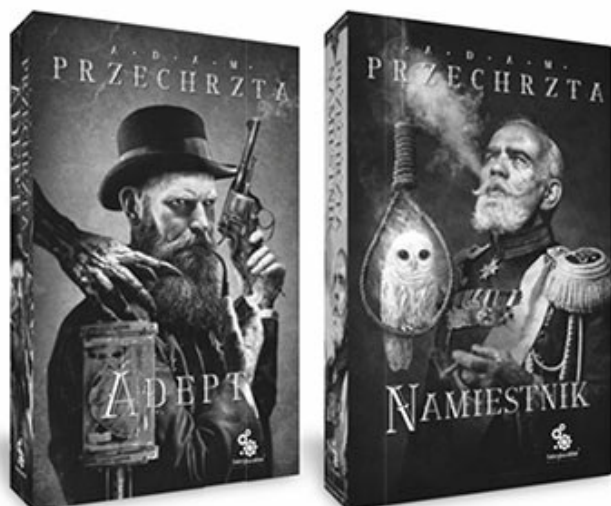
Jest laureatem Nagrody Literackiej im. Jerzego Żuławskiego, w 2014 roku otrzymał Srebrne Wyróżnienie za „Gambit Wielopolskiego”.

Zwolennik czytania przy jedzeniu. Czytuje wszystko, od podręczników pszczelarstwa poprzez literaturę głównonurtową i fantastyczną aż po romanse dla pań. Te ostatnie przeważnie w poczekalni u dentysty. Marzy o świętym spokoju.



Cykl Wojenny:

1. Demony Leningradu
2. Demony wojny, cz. 1
3. Demony wojny, cz. 2
4. Demony czasu pokoju



Cykl Materia Prima:

1. Adept
2. Namiestnik



Pozostałe książki autora
wydane nakładem naszego wydawnictwa:

Pierwszy krok
Chorągiew Michała Archaniola
Wilczy Legion
Białe noce



MIROSLAV ŽAMBOCH

OSTATNI BIERZE **WSZYSTKO**

(FRAGMENT)

Długi sprint

Klęczałem nad bratem i łzy cisnęły mi się do oczu. Był martwy. Zwykły, najzwyklejszy upadek z konia, a on nie żył. Głowę miał nienaturalnie waykręconą, kręgi szyjne złamane. Płakałem i narzekałem, ale gdzieś wewnątrz pomału, pomału i niechętnie, wracałem do rzeczywistości. Nie o to chodzi, że go tak kochałem. Mój brat, książę Maxmilian, był czasami bardzo arogancki, ale kto by nie był na jego miejscu? Od małego karmili go papką z byczych i tygrysich jąder, każdy jego posiłek sprawdzał królewski toksykolog, a odkąd nauczył się czytać, spędzał sześć godzin w towarzystwie czarodziejów swego ojca. Rezultat był taki, że mierzył siedem stóp, ważył przeszło trzysta funtów i w wieku dwudziestu siedmiu lat posiadał umiejętności dziewięćdziesięciu ośmiu procent czarodziejów z całego Kontynentu. A teraz leżał tu nieżywy. Za siedem tygodni miał zostać koronowany. To z tego powodu się martwiłem. Następstwo tronu przeszło na mnie. Brat przygotowywał się do owego wydarzenia przez całe życie, a mnie pozostało czterdzieści dziewięć dni.

Wróciłem na zamek i oddałem stajennemu konie wraz z ciałem brata. Dziedziniec natychmiast wypełnił się ludźmi, ale nikt nie odważył się rozmawiać zbyt głośno. Pierwszy raz w życiu znalazłem się w centrum uwagi i nie było to nic przyjemnego. Starłem się nie zauważać mnóstwa spojrzeń oscylujących pomiędzy profesjonalną oceną rzeźnika starającego się określić wytrzymałość sztuki przeznaczonej na rzeź a rozbawionym zastanawianiem się bukmachera typującego kurs dotyczący wyrzutka. Engod, najmłodszy członek osobistej straży ojca, wykrzywił się do mnie wyzywająco. Jego ród należał do jedenastu, spośród których wybierało się nowego króla, jeśli książę został zabity podczas koronacji. Engod miał dwóch starszych braci. Obaj przeszli takie same przygotowania jak Max, obaj należeli do elity czarodziejów i byli zabójcami. Mieli trzydzieści dni na to, żeby wziąć mnie na cel.

Schowałem się do swojej wieży, główne drzwi zamknąłem na zawórę. Nie posiadałem własnej straży. Żaden zawodowiec nie przyjąłby służby dla księcia narodzonego jako drugi syn, a najmowanie do tego nieprofesjonalistów z zewnątrz miało się z celem. Takich nawet ja zdołałbym załatwić. Kiedy potrzebowałem podeprzeć swój autorytet, pożyczałem go od brata. Jaki był, taki był, ale żyliśmy w zgodzie.

Pokoje wyglądały tak samo przytulnie jak wcześniej, ale czułem się tak, jakbym już do nich nie należał, jakbym przybył tu tylko z wizytą. Z wściekłością zdarłem ze ściany plany winnic i sklepów winiarskich. Od osiemnastu lat starałem się pozbyć przeznaczonej mi roli królewskiego pomagiera, chłopaka do najbrudniejszych zadań, który będzie zakulisowo wspierać niezakłócony tok władzy. Postarałem się o to, żeby uważano mnie za głupka, który nic nie wie i którego nie ma sensu wciągać w polityczne intrygi. Klany przestały mnie zapraszać na coroczne bale, na których zawiązywano i zrywano tajne pakt, wymieniano informacje i typowano ogiery rozplodowe dla poprawy genetycznego potencjału klanów. Przeżywali mnie zielarzem lub też kupczykiem. Moim marzeniem było stworzenie winnic produkujących lepsze wino niż czerwone, jakie dostarczali nam handlarze. W tym roku uzbierałem kilka pierwszych koszyków. Otworzyłem butelkę białego i nalałem sobie pełny puchar. Schowałem je na jakąś uroczystą okazję, ale ponieważ w najbliższej przyszłości żadnej takiej okazji nie będzie, nie było sensu dłużej go oszczędzać. Obserwowałem przez okno maskaradę na dworze. Kapitan straży ojca witał właśnie grupkę dyplomatów guunskiego cesarza. Wszystko odbywało się bezbłędnie, nawet śmierć następcy tronu nie zdołała zakłócić biegu kółek mechanizmu. Cesarz władał połową Kontynentu i według wszystkich znaków na ziemi zaczął ostrzyć sobie zęby na resztę. Ta reszta oznaczała z tuzin większych królestw i dziesiątki małych niezawisłych państw albo towarzystw handlowych.

Na pierwszy rzut oka była to łatwa zdobycz dla liczącej dwieście tysięcy żołnierzy cesarskiej armii. Jednak tamtejsi władcy mieli należytą wiedzę dotyczącą prowadzenia wojny. Jeden zespół składający się z czarodzieja bojowego i dwóch specjalnie wyćwiczonych rycerzy zdołałby w okamgnieniu zmieść z tego świata nawet tysiąc ludzi. Cesarz oczywiście wiedział o tym i posłał emisariuszy, żeby wyjednać u ojca ograniczenia w użyciu siły podczas ewentualnej wojny.

Nagle zjeżyły mi się włoski na potylicy. Ktoś stał tuż za mną. Dla człowieka, który skrycie zachodzi cię od tyłu, była w Vegasz tylko jedna odpowiedź. Kabura spleciona z włókien szialinu zareagowała na znany jej wzór napięcia ściągien, w dłoń wśliznęło mi się wąskie ostrze. Uniosłem puchar ku ustom, wykorzystując ten ruch do przeniesienia ciężaru ciała na drugą nogę. Odwróciłem się piruetem, ostrze ze świstem przecięło powietrze. Zauważyłem tylko niewyraźną sylwetkę, coś lekko mnie dotknęło, zmieniłem się w wirującą frygę i straciłem równowagę. Tuż przed tym, jak wpadłem na ścianę, odrzuciłem nóż. Trochę niepewnie wstałem i odwróciłem się ku swemu ojcu.

– Niewiele brakowało, a bym się pociął – powiedziałem zamiast pozdrowienia.

Ubrany był jak zwykle w luźne czarne spodnie, szarą bluzę i skórzaną kamizelkę. Na nogach miał lekkie buty. Zawsze chciałem się dowiedzieć, z czego mają zrobione podeszwy. Jeśli nie patrzyło się na twarz ojca, łatwo było wziąć go za koniuszego albo łowczego. Żyłasty, włosy przetykane siwizną, skóra na twarzy i rękach ogorzała od słońca i wiatru.

– Tak myślałem, że możesz się pociąć.

Nie cierpiałem tego tonu. Jakby każde słowo przed wypowiedzeniem przecedził przez pół tuzina filtrów. Głos doskonale pozbawiony emocji, stworzony do rozkazywania i czarowania. Nienawidziłem jego pewności siebie i arogancji. Bałem się go.

– Jak na staruszka, jesteś całkiem szybki – powiedziałem, napełniłem dwa puchary i podałem jeden ojcu.

Dziwne, ale go przyjął.

– Nie. Wkrótce nie będę miał dość sił, żeby utrzymać porządek na swoich ziemiach.

Kpił sobie. Miał pięćdziesiąt lat i każdego mężczyznę ze swojej osobistej jednostki wyniosłby z areny w zębach. Przestało go to po prostu bawić, a myślał, że mój brat jest wystarczająco przygotowany do przejęcia korony.

– A czy nie mógłbyś swojej abdykacji odłożyć na kilka miesięcy?

– Nie.

To była iście królewska odpowiedź.

– A czy jesteś świadomy, ojcze, że mogę nie przeżyć koronacji? Nie przygotowywaliście mnie do niej już od dzieciństwa jak Maxa. Trochę więcej

czasu by mi pomogło.

Milczał.

– Zabiją mnie i królem zostanie ktoś inny. Skończy się dynastia Maatenów. Wzruszył ramionami.

– Taki jest zwyczaj. Ceremonia koronowania rozpocznie się zgodnie z planem. Tutaj masz klucze do komnat Maxa. Może tam znajdziesz coś, co ci pomoże.

Odwrócił się, aby odejść, w drzwiach zatrzymał się jeszcze na moment.

– Zażądałem próbki z twoich zbiorów. Całkiem niezłe. Z radością powitałbym, gdybyś mnie w przyszłości dopisał do listy swoich uprzywilejowanych klientów.

Poczekalem, aż zamknie za sobą drzwi, i rzuciłem pucharem o ziemię.

– A to łajdak, niegodziwiec!

Kiedy byłem już pewny, że ojciec wyszedł na zewnątrz, z wściekłością kopnąłem w drzwi. Aby się uspokoić, wypilem duszkiem puchar wina i nalałem sobie kolejny. Brat nie uznawał zwyczajnych kluczy. Twierdził, że można je łatwo dorobić. Zamiast nich używał doskonale wyszlifowanych wałeczków z niebieskiego szafiru. Pęk leżący na moim stole liczył ich cały tuzin. Nie było w nich nic magicznego – aby otworzyć drzwi, wystarczył właściwy rozmiar i właściwy materiał. Nie mogłem sobie wyobrazić nikogo, kto miałby dostęp do tak wielkich klejnotów i nie wahał się ich zniszczyć. Oczywiście oprócz księcia z Vegasz. Nie miałem ochoty na wizytę w komnatach Maxa. Nie lubiłem czarodziejów ani ich przyborów, a co więcej, Max bez wątpienia przygotował dla nieproszonych gości mnóstwo oryginalnych zasadzek. Nie miałem nastroju do pełnego mitręgi przechodzenia przez teren najeżony pułapkami.



COPYRIGHT © BY Adam Przechrzta
COPYRIGHT © BY Fabryka Słów sp. z o.o., LUBLIN 2017

WYDANIE I

ISBN 978-83-7964-242-7

Wszelkie prawa zastrzeżone
All rights reserved

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

PROJEKT I ADIUSTACJA AUTORSKA WYDANIA Eryk Górski, Robert Łakuta

ILUSTRACJA NA OKŁADCE Dark Crayon

PROJEKT OKŁADKI Dark Crayon, black gear Paweł Zaręba, „Grafficon” Konrad Kućmiński

ILUSTRACJE Przemysław Truściński

REDAKCJA Karolina Kacprzak

KOREKTA Magdalena Byrska

OPRACOWANIE OKŁADKI ORAZ SKŁAD „Grafficon” Konrad Kućmiński

SKŁAD WERSJI ELEKTRONICZNEJ pan@drewnianyrower.com

SPRZEDAŻ INTERNETOWA



ZAMÓWIENIA HURTOWE

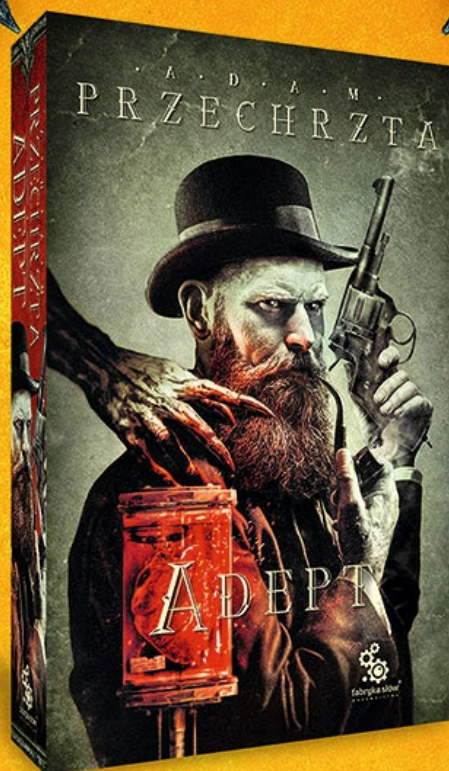
Firma Księgarska Olesiejuk sp. z o.o. sp.j.
05-850 Ożarów Mazowiecki, ul. Poznańska 91
tel./faks: 22 721 30 00
www.olesiejuk.pl, e-mail: hurt@olesiejuk.pl



WYDAWNICTWO

Fabryka Słów sp. z o.o.
20-834 Lublin, ul. Irysowa 25a
tel.: 81 524 08 88, faks: 81 524 08 91

www.fabrykaslow.com.pl
e-mail: biuro@fabrykaslow.com.pl
www.facebook.com/fabryka



Czytając „Adepta”, nie mogłam pozbyć się uczucia, że poruszam się po dawnej Warszawie, która jest spowita mrokiem, a za rogiem może kryć się niebezpieczeństwo. Autor fenomenalnie przedstawił życie panujące w danym czasie, stroje, szczególnie dam, oraz wplótł w to fantastyczne elementy.

W tym tomie Adam Przechrzt skupił się na kreowaniu świata, co według mnie udało mu się rewelacyjnie. „Adept” okazał się kompletnie inną powieścią, niż się spodziewałam, mimo to jestem nią zachwycona.

Efantastyka

· A · D · A · M ·
P R Z E C H R Z T A

NAMIESTNIK

Warszawa pod niemiecką okupacją,
trwa I wojna światowa.



Odepchnięta daleko na wschód rosyjska armia szykuje się do kontrofensywy, a tymczasem Rudnicki otrzymuje od Niemców propozycję nie do odrzucenia. Unikający mieszania się do polityki alchemik mimo woli zostaje wciągnięty do gry, w której stawką jest życie, a nawet więcej.



Tymczasem w enklawach pojawiają się istoty używające – i nie bez powodu! – imion upadłych aniołów. Swoje plany mają też sztyltnicy. Drogi Rudnickiego i Samarina przecinają się ponownie, choć tym razem każdy z nich walczy pod inną flagą. Nadchodzi przesilenie...



fabryka słów®
WYDAWNICTWO

fabrykaslow.com.pl



 Polub nas na
facebooku

Wyłączny
dystrybutor



Spis treści

Karta tytułowa	4
·R·O·Z·D·Z·I·A·Ł· I	6
Adam Przechrzta	24
Cykl Wojenny Adama Przechrzty	25
Pozostałe książki autora	26
Długi sprint	27
Karta redakcyjna	31
Okładka	33